1. Zbrodnia sowiecka na generale Wojska Polskiego

[Z relacji Alfredy Olszyny-Wilczyńskiej (żony szefa Dowództwa Okręgu Korpusu nr III Grodno, gen. Józefa Olszyny-Wilczyńskiego), 30 listopada 1939 r. [w:] *Wrzesień 1939 na Kresach w relacjach*, wybór i oprac. Czesław K. Grzelak, Warszawa, Neriton, 1999].

Oficerowie stale doradzali mężowi, by uchodził na Litwę, lecz on jeszcze odkładał decyzję. Tak samo nie zwracał uwagi na moje prośby, gdyż od przyjazdu do Sopoćkiń po prostu wiedziałam, że grozi mu śmierć. Na moje prośby odpowiadał stale: „Daj spokój, jeżeli odejdę, to dopiero wtedy, gdy już nic nie będzie do zrobienia". [...] Około godz. 6.30 zapukał do naszego pokoju adiutant męża [kpt. Mieczysław Strzemeski], meldując, że trzeba już jechać. Spaliśmy w ubraniu, więc w pięć minut, może nawet mniej, byliśmy już przed domem i wsiadaliśmy do samochodu. Wychodząc przed dom, zdziwiłam się, że nie ma już ani jednego samochodu, ani osobowego, ani ciężarowego. Oglądając się niespokojnie dookoła, zapytałam męża, czy zmów jedziemy tylko sami, na co mąż odpowiedział mi krótko: „Tak się złożyło".

Jechaliśmy może pięć minut, gdy zamajaczyły przed nami dwa czołgi sowieckie. Posypały się strzały karabinowe z tyłu i z przodu. Odwrotu nie było [...] obskoczyli nas żołnierze sowieccy z granatami i karabinami gotowymi do strzału, z okrzykiem: *Stój, wylezaj, a to ubijem na miestie*. Opierać się czy wyjść – rezultat ten sam, bo wszystko stało się tak błyskawicznie, że obrona z samochodu była niemożliwa. Pierwszy wysiadł kapitan, za nim ja, a w końcu mąż, szofer i pomocnik. Zostaliśmy od razu otoczeni. Przed każdym z nas stał jeden bandyta z granatem przy twarzy, a drugi z wycelowanym karabinem, zaś dwaj komisarze poczęli nas rewidować, przede wszystkim mnie, potem kapitana i męża. Zabrali nam wszystko: ubranie, pieniądze, wszelkie drobiazgi, a nawet zepsutą zapalniczkę kapitana. Po ograbieniu nas zapytywali kilkakrotnie męża, kim jest i czym dowodzi. Odpowiedział, że jest oficerem i dowodzi wojskiem. Następnie pytali, czy dużo wojska jest w pobliżu. Odpowiedzi na to już nie otrzymali. Wobec tego mężowi i kapitanowi kazali iść na lewo pod czołgi, a mnie na prawo do stodoły. Nie chciałam odejść od męża, prosiłam obu komisarzy, by mnie z nim nie rozłączali, twierdząc, że poszłam z nim na front i chcę dzielić jego los, wszystko jedno, jaki będzie. Powtarzałam to kilka razy, chwytając nawet za rękę jednego z bandytów, lecz oni na to się nie zgodzili, twierdząc, że nie ma mowy, bym tu została. Kazali mi iść do stodoły, przy czym jeden z nich dodał, że są tam już uciekinierzy. Na to mąż zwrócił się do komisarza, by mnie nie odsyłano daleko, lecz pozostawiono w pobliżu. […] Po kilku minutach „zagrały" kara-

biny maszynowe, rozpoczęła się strzelanina. Nagle wszystko ucichło, tylko z daleka dochodził szum odjeżdżających czołgów. Wybiegłam ze stodoły mimo protestów i gróźb i już z daleka zobaczyłam dwie ciemne plamy na polu pod krzakami. […]. Wiedziałam już, że tam leży mój mąż i jego adiutant, lecz miałam jeszcze nadzieję, że może żyją, może są tylko ranni. Niestety, widok, który się ukazał moim oczom, był tak okropny, że nie miałam sił iść dalej. […] Mąż leżał twarzą do ziemi, lewa noga pod kolanem była przestrzelona w poprzek z karabinu maszynowego. Tuż obok leżał kapitan z czaszką rozłupaną na dwoje, a zawartość czaszki leżała obok, wylana jako jedna krwawa masa. Na czerepie sterczały zmierzwione, oblepione krwią włosy. Głowa męża była nienaruszona, lecz bałam się odwrócić go twarzą do góry, obawiając się, że twarz będzie tak samo zmasakrowana jak kapitana. […]. Na szczęście głowa męża była cała, tylko oczy i nos stanowiły krwawą masę, a mózg wyciekał uchem.

[Józef Olszyna-Wilczyński (1890–1939) był oficerem I Brygady Legionów Polskich, później służył w WP, od 1927 roku w stopniu generała brygady. W 1938 roku został szefem Dowództwa Okręgu Korpusu nr III Grodno.

Armia Czerwona dokonała również wielu innych zbrodni wojennych na oficerach polskich w czasie zajmowanie ziem wschodnich Rzeczypospolitej we wrześniu 1939 roku. W Mielnikach zamordowano osiemnastu wziętych do niewoli oficerów WP ze zgrupowania Korpusu Ochrony Pogranicza gen. Wilhelma Orlika-Rückemanna. Innej zbrodni dokonano 26 września 1939 r. w Mokranach, gdzie rozstrzelano kilkunastu oficerów i podoficerów Flotylli Pińskiej, m.in. kpt. Bogusława Rutyńskiego i por. marynarki Jana Maya, dowódcę monitora ORP „Warszawa". W tym wypadku wykonanie mordu na jeńcach Sowieci powierzyli lokalnej bojówce komunistycznej. Z rąk czerwonoarmistów zginął również 22 września 1939 roku w majątku Ziołowo w powiecie kobryńskim emerytowany generał WP Stanisław Dowoyno-Sołłohub (1885–1939). Świadek tej zbrodni, gen. Leonard Skierski, został aresztowany, wywieziony do obozu w Starobielsku i zamordowany w Charkowie.

Oprócz wojskowych, wśród ofiar Sowietów bądź bojówek, do których należeli przedstawiciele mniejszości narodowych ze wschodnich województw Rzeczypospolitej, byli m.in. osadnicy wojskowi, ziemianie, urzędnicy, przedstawiciele samorządu tych ziem. „Bolszewicy, wkraczając do Polski, mordowali polskich osadników i leśniczych. I otóż po wejściu na osadę Lerypol w powiecie Grodno enkawudziści bolszewiccy w przebraniu, zaaresztowawszy osadników, prowadzili w kierunku pobliskiego lasu. Wtem usłyszeliśmy strzały. Więc mój starszy brat razem z kolegą pobiegli w kierunku tych wystrzałów. Będąc pod lasem, spostrzegli trupów, między któremi

znajdował się mój ojciec. Wieść rozeszła się po całej osadzie, iż zamordowali bolszewicy osadników tejże osady. Na ten widok płacz i lament wdów i osieroconych dzieci" – czytamy w relacji dwunastoletniego chłopca z powiatu grodzieńskiego, cyt. za: *„W czterdziestym nas Matko na Sybir zesłali". Polska a Rosja 1939–42*, wybór i oprac. Jan Tomasz Gross, Irena Grudzińska-Gross, Warszawa, Wydawnictwo Rynku Wewnętrznego Libra, Wydawnictwo Res Publica, 1990].

2. Zbrodnicza decyzja najwyższych władz Związku Sowieckiego

[Wyciąg z protokołu nr 13 posiedzeń Biura Politycznego KC WKP(b) w Moskwie z 5 marca 1940 roku [w:] *Katyń. Dokumenty zbrodni*, oprac. Wojciech Materski, Bolesław Woszczyński, przy współudziale Ewy Rosowskiej, Warszawa, Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych, 1995]

ŚCIŚLE TAJNE (Z T[eczki] S[pecjalnej])

Uchwała z 5 III 1940 roku

I. Polecić NKWD ZSRS:

1) Sprawy znajdujących się w obozach dla jeńców wojennych 14 700 osób, byłych polskich oficerów, urzędników, obszarników, policjantów, agentów wywiadu, żandarmów, osadników i służby więziennej,

2) jak też sprawy aresztowanych i znajdujących się w więzieniach w zachodnich obwodach Ukrainy i Białorusi 11 000 osób, członków różnorakich k[ontr]r[ewolucyjnych] organizacji szpiegowskich i dywersyjnych, byłych obszarników, fabrykantów, byłych polskich oficerów, urzędników i uciekinierów – rozpatrzyć w trybie specjalnym, z zastosowaniem wobec nich najwyższego wymiaru kary – rozstrzelania. Sprawy rozpatrzyć bez wzywania aresztowanych i bez przedstawiania zarzutów, decyzji o zakończeniu śledztwa i aktu oskarżenia [...].

[Decyzja najwyższych władz Związku Sowieckiego z 5 marca 1940 roku o zamordowaniu oficerów Wojska Polskiego – jeńców wojennych oraz tysięcy więźniów politycznych, została podpisana przez Józefa Stalina, Wiaczesława Mołotowa, Anastasa Mikojana, Klimenta Woroszyłowa, Łazara Kaganowicza, Michaiła Kalinina].

3. Jedyny świadek

[Z książki Stanisława Swianiewicza, *W cieniu Katynia*, Warszawa, Czytelnik, 1990, ostatnie wydanie – Łomianki, LTW, 2010]

Do transportu zostałem wezwany w dniu 29 kwietnia 1940 roku. Gdy tylko jeńcy prowadzący podsłuch telefonów z Moskwy zawiadomili, że tego dnia mam opuścić Kozielsk, pobiegłem od razu, aby się pożegnać z kilku osobami, które uważałem w Kozielsku za swoich szczególnych przyjaciół. [...]

Pierwszą rzeczą, która mnie uderzyła, były brutalne twarze naszej eskorty, stanowiące kontrast z dobrodusznym na ogół sposobem bycia tych *striełkow* (to znaczy szeregowych strzelców), do których byliśmy przyzwyczajeni w Putiwlu i Kozielsku. Przeciętny człowiek z ludu rosyjskiego, jakich wielu spotykałem w swoim dzieciństwie przed pierwszą wojną światową, ma (a raczej miał w warunkach przedrewolucyjnych) życzliwą postawę w stosunku do bliźniego. Podkreślała to zawsze moja matka, która, jeszcze przed moim urodzeniem, była przez pewien czas nauczycielką w jakimś arystokratycznym domu rosyjskim w centralnej Rosji. Obecnie wyczuwało się wyraźnie, że dla członków tej nowej eskorty byliśmy raczej martwymi przedmiotami, którymi trzeba było w pewnym stopniu manipulować, a nie żywymi ludźmi. Przeprowadzono w sposób dość brutalny, lecz sprawny, bardzo ścisłą rewizję osobistą, odbierając wszystkie ostre przedmioty i potem pod o wiele bardziej wzmocnionym konwojem niż ten, do którego byliśmy przyzwyczajeni, odprowadzono do ciężarówek, które czekały przed bramą obozu. [...]

Przed nami był plac częściowo porośnięty trawą, wyglądało to na równe miejsce, gdzie przedtem pod otwartym niebem były składy jakichś towarów przeznaczonych do transportu, najprawdopodobniej materiałów drzewnych. Z jednej strony do placu przylegała droga idąca prostopadle do torów kolejowych, z drugiej strony były jakieś zarośla. Plac był gęsto obstawiony kordonem wojsk NKWD z bagnetem na broń. [...] Z drogi wjechał na plac zwykły pasażerski autobus, raczej małych rozmiarów w porównaniu do tych autobusów, do których jesteśmy przyzwyczajeni w miastach zachodnich. Okna były zasmarowane wapnem. Pojemność autobusu była około 30 osób, wejście dla pasażerów od tyłu. Powstawało pytanie, jaki cel był zasmarowania okien tego niedużego autobusu. Autobus podjechał tyłem do sąsiedniego wagonu, tak że jeńcy mogli wchodzić bezpośrednio ze stopni wagonu, nie stąpając na ziemię. Z obydwóch stron wejścia do autobusu stali żołnierze wojsk NKWD z bagnetami na broń. Był to dodatek do gęstego kordonu wojsk NKWD otaczającego plac. Po pół-

godzinie autobus wracał, aby zabrać następną partię. Wynikało stąd, że miejsce, dokąd wieziono jeńców, nie było daleko. Powstawało pytanie, jaki był sens używania tej skomplikowanej transportowej procedury zamiast zarządzenia pieszego marszu, jak to bywało przy poprzednich transportach?

[Jedynym, który ocalał z prawie czterech i pół tysiąca oficerów przywiezionych przez NKWD z Kozielska przez Smoleńsk do Lasu Katyńskiego i tam zamordowanych, był Stanisław Swianiewicz (1899–1997), profesor ekonomii politycznej Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, wybitny sowietolog, uczestnik wojny z Niemcami we wrześniu 1939 roku. Został on oddzielony od pozostałych oficerów na stacji kolejowej Gniezdowo i przewieziony na moskiewską Łubiankę. Skazany na 10 lat pobytu w łagrach, był więziony w Republice Komi, i zwolniony dopiero 30 kwietnia 1942 roku, dziewięć miesięcy po układzie Sikorski–Majski, wskutek licznych interwencji ambasadora RP w Moskwie Stanisława Kota. Po wojnie przebywał na uchodźstwie w Wielkiej Brytanii i w Kanadzie].

4. Śmierć poety

[Z wiersza Władysława Sebyły *…I znowu tupot nóg kozackich* [w:] *Poeci Katynia. Żołnierz który klęczy*, wybór i wstęp Sławomir Gowin, Warszawa–Rzeszów, Muzeum Niepodległości, Agencja Wydawnicza Ad Oculos, 2011]

I znowu tupot nóg sołdackich,
i grzmiących sotni gwizd kozackich,
gwiaździsty nad Europą but,
i mrowi się ludami wschód.
A na zachodzie werbli trzask,
rozgwar motorów z nieboskłonu
i krok miarowy – wzywa łask
boga mocniejszych batalionów.
Ojczyzno moja, a ty trwasz
w żelaznym pogrążona gwarze,
światowidową mroczną twarz
zwracając w cztery strony wraże.
I marzy ci się chleb i miód,
i szklane domy w rodnych sadach,
i szczęśliwości pełen trud,
pod gałęziami lip biesiada.
A niebo wokół się czerwieni
[…]

[Z *Traktatu poetyckiego* Czesława Miłosza [w:] *Poezje*, Warszawa, Czytelnik, 1981]

Ostatni wiersz epoki był w druku.
A jego autor, Władysław Sebyła,
Lubił wieczorem wyjąć z szafy skrzypce,
Kładąc futerał przy tomach Norwida.
Haftki munduru wtedy miał rozpięte
(Bo na kolei pracował, na Pradze).
W tym swoim wierszu, jakby w testamencie,
Do Światowida przyrównał Ojczyznę.

Zbliża się do niej świst i werbli trzask
Od równin wschodu i równin zachodu.
A ona śni o brzęku swoich pszczół,
O popołudniach w hesperyjskich sadach.
Czy za to strzelą w tył głowy Sebyle
I pochowają go w smoleńskim lesie?

[Władysław Sebyła (1902–1940), podporucznik Wojska Polskiego, poeta związany z awangardową grupą Kwadryga i pracownik Polskiego Radia. We wrześniu 1939 roku uczestniczył w wojnie z Niemcami. Wzięty do niewoli przez Sowietów, był więziony w obozie w Starobielsku. Nie został więc zamordowany przez NKWD w „smoleńskim lesie", czyli w Katyniu, jak sądził Czesław Miłosz, lecz w Charkowie].

5. „...gdybym mógł, tobym z końca świata na kolanach do Polski wrócił".

Kwiatem polskiej armii nazwał oficerów uwięzionych przez Sowietów w Kozielsku, Ostaszkowie i w Starobielsku Józef Mackiewicz, w artykule *Dymy nad Katyniem*, opublikowanym w 1947 roku w czasopiśmie „Lwów i Wilno", ukazującym się na uchodźstwie w Wielkiej Brytanii. Jednym z tych oficerów był major dyplomowany Adam Sołtan. Obaj jego dziadowie zostali zesłani na Syberię za udział w zmaganiach niepodległościowych z zaborcą rosyjskim. Urodzony w 1898 roku Sołtan w czasie wojnie z bolszewikami służył w słynnym 1. Pułku Ułanów Krechowieckich, został odznaczony Virtuti Militari i mianowany na stopień podporucznika. Pozostał w czynnej służbie wojskowej, uzyskał dyplom Wyższej Szkoły Wojennej, a w latach trzydziestych był dyrektorem nauk Szkoły Podchorążych Kawalerii w Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu. Po wybuchu II wojny światowej został szefem sztabu grupy operacyjnej kawalerii gen. Władysława Andersa. Przeszedł cały szlak wrześniowych bojów z Niemcami, a w końcu kampanii z Armią Czerwoną, która najechała Polskę 17 września 1939 roku, do jej też niewoli się dostał. W Starobielsku major Sołtan zaprzyjaźnił się z Józefem Czapskim, jednym z nielicznych, którzy ocaleli z kaźni polskich oficerów. Czapski, po wojnie wybitny przedstawiciel środowiska paryskiej „Kultury", tak pisał o Sołtanie we *Wspomnieniach starobielskich*: „W ciężkich pierwszych tygodniach wykazał on spokój, równowagę i taki skromny, bez frazesów hart, że wszyscy mu bliscy, a nawet tacy, którzy go prawie nie znali, czerpali w zetknięciu z nim siłę [...]. Zaraz po katastrofie uczył nas myśleć nie pod kątem takiej czy innej partii przeszłości, ale pod kątem nowej rzeczywistości polskiej, która nas w przyszłości w kraju będzie oczekiwać, gdzie pracować razem będą musieli ludzie, może jeszcze wczoraj skłóceni, należący do różnych partii czy ugrupowań, wszyscy, dla których dobro Polski będzie naprawdę celem najważniejszym [...]. On sam nie wyobrażał sobie życia poza Polską. »Całe moje życie przeszło między Brodami a Grudziądzem«, mawiał wesoło. Nie znosił słów patetycznych i sam nigdy ich nie wypowiadał, ale pamiętam, że kiedyś mówiłem mu o znajomym, który wyjechawszy z Polski, nie wrócił doń więcej. Adam Sołtan się żachnął: »Nie rozumiem – powiedział – ja, gdybym mógł, tobym z końca świata na kolanach do Polski wrócił«. Zostawił żonę i dwie córeczki w Polsce. Już w Griazowcu otrzymałem od nich pytanie pełne niepokoju o jego los, od kwietnia 1940 roku nie miały od niego znaku życia".

6. Białe krematorium

[Ze świadectwa Anatola Krakowieckiego, *Książka o Kołymie*, Łomianki, LTW, 2014]

O ilościach jedzenia, potrzebnego ludziom w tamtym klimacie, mają wyobrażenie tylko ci, którzy tam byli. Niezwykłą ilość kalorii zżera zimno i praca. A tu tymczasem nie tylko nie powiększa się racji na zimę, ale się je zmniejsza. Nawet 700-gramowa porcja chleba (chleb staje się coraz bardziej wodnisty i gliniasty) znika w gardłach w przeciągu kilkunastu minut. Rzadko kto odkłada kawałeczek chleba na następny dzień, a jeśli już zdobędzie się na taki wysiłek woli, musi uważać, aby chleb w nocy nie zniknął. Raz po raz nie ma soli i trwa to całymi tygodniami. Wtedy jedzenie staje się jeszcze obrzydliwsze, wyłącznie w postaci coraz rzadszej zupy. Kaszę otrzymują, i to bardzo rzadko – jedynie rekordziści. Od czasu do czasu fasujemy śledzie i taki wieczór jest świętem dla niektórych więźniów. Doświadczenie uczy, co oznacza, jeśli ktoś ugania się za główkami śledzi i pije dużo wody, będzie pił tę wodę jeszcze tydzień lub dwa, a potem opuchną mu nogi. Gdy przyłoży się palec do takiej nogi, powstaje dołeczek, który trwa kilkanaście minut po odjęciu palca. To są kandydaci na tamten świat. Tacy ludzie robią wyprawy na śmietniki i wybierają z nich odpadki, wobec tego jest polecenie, aby zakopywać odpadki. – Dziś znowu kucharz strażników zakopał kilka litrów zupy z makaronem. Gęsta była jak smoła… Każdorazowo cały barak wie, co kiedy zakopują strażnicy lub też dniewalny [więzień odpowiadający za porządek w baraku, palenie w piecu, noszenie wody] naczelnika. Na dobitek na komandirówce [łagier, w którym znajduje się naczelnik, kierujący pewnym odcinkiem robót] jest farma świńska, strzeżona jak oko w głowie. Sama obecność kilkunastu świń, może jedynych na obszarze 10 tysięcy kilometrów kwadratowych, w tak bliskim sąsiedztwie doprowadza ludzi do podniecenia. Kilka razy w ciągu dnia po baraku chodzi, mówiony z ust do ust, biuletyn:

– Dzisiaj świnie dostały na śniadanie…

I przeżuwane są dokładne wiadomości, jaką to świnie miały strawę, jak ją gotowano, jak ją mieszano, ile wody trzeba było przynieść, i drugorzędne, ale tym niemniej ciekawe szczegóły. Ludzie zazdroszczą świniom – zazdrością ostrą, jadowitą, nienawistną. Gdzie indziej ludzie zazdroszczą koniom – tutaj świniom. Każdy marzy, aby go świniarz wziął do pomocy, chociażby doraźnej, na przykład do noszenia drzewa z lasu lub lodu z rzeczki – płytka rzeczka zamarzła już w październiku i trzeba rąbać lód. Pomocnik za drzewo noszone, ażeby świnie miały ciepło, za lód dźwigany w wielkich bryłach, aby świnie miały co pić (oraz kąpać się!) – otrzymuje trochę świńskiej strawy i czuje się odznaczony przez los!

[...]

Oświęcim [Auschwitz] – Kołyma! Dwa konary ludzkiej tragedii, pień ten sam: cierpienie bez granic. Dymy nad Birkenau i dymy nad tajgą. Błyskawiczna, potworna śmierć: gaz! – powolne gnicie i ciało odpadające od kości: cynga! Czerwone krematorium i białe!

[Anatol Krakowiecki (1901–1950), rodem z Krakowa, był przed wojną pisarzem i dziennikarzem, m.in. redagował czasopismo „Na Szerokim Świecie". Przeżył piekło Kołymy, gdzie pracował niewolniczo przy wydobyciu złota i zdołał dotrzeć do armii gen. Władysława Andersa. Nigdy jednak nie wrócił do pełni sił i zmarł przedwcześnie na uchodźstwie w Wielkiej Brytanii. Użyte przez Krakowieckiego określenie „dymy nad Birkenau" nawiązuje do tytułu książki Seweryny Szmaglewskiej.

W kontekście świadectwa Anatola Krakowieckiego warto odnotować dialog między dwoma nadzorcami łagrowymi, wspomniany przez Eugenię Ginzburg (1904–1977), wykładowczynię Uniwersytetu w Kazaniu, matkę pisarza Wasilija Aksionowa, która w obozach sowieckich była więziona przez kilkanaście lat: „– A to pomieszczenie dlaczego stoi puste? – pyta Kadymow. – Trzymaliśmy tu byki – odpowiada Orłow, ale teraz wyprowadziliśmy je stąd. Dach przecieka, kąty poprzemarzały, no i belki zgniły; niebezpiecznie trzymać tu bydło. Będziemy robić kapitalny remont. – Na taką ruinę nie warto tracić pieniądze. Lepiej przydzielcie jako barak dla kobiet... – Towarzyszu dyrektorze, co też mówicie! Przecież nawet byki nie wytrzymały, zaczęły tu chorować. – Tak byki! Oczywiście, jeżeli idzie o byki, nie będziemy ryzykować". – Eugenia Ginzburg, *Stroma droga*, t. 2, tłumaczenie Larysa Zajączkowska-Mitznerowa, Warszawa, Wydawnictwo „Krąg", 1989].

7. „A chemię czytałeś?"

[Ze wspomnień Wacława Grubińskiego, *Między młotem a sierpem*, Warszawa, Czytelnik, 1990]

Jechaliśmy stłoczeni, żarci przez wszy i konający z pragnienia. Pociąg nasz stawał przeważnie poza stacją, więc enkawudzistom nie chciało się chodzić po wodę. Schły nam gardła i języki. Jedni błagali o wodę, inni ryczeli nieludzkim głosem, walili pięściami ściany wagonu, zasypywali żołnierzy przekleństwami. Żołnierze rozdawali pchnięcia bagnetem w otwory okienne, oczywiście bezskutecznie, ponieważ na widok doskakującego żołnierza, więźniowie się usuwali. […] W dusznym wagonie, cały dzień zaryglowanym na spiekocie, nieraz mi się wydawało, że następnego oddechu nie wezmę, że już nie ma ani źdźbła powietrza naokoło mnie, że jest do końca wyłykane przez moich towarzyszów. [...] Profesor Wiktor Sukiennicki, którego w następnym roku spotkałem w Kujbyszewie, opowiadał, że pewnego razu żołnierz NKWD odpowiedział więźniom, błagającym o wodę: „A chemię czytałeś? – Nie. – Ot i źle! Nie krzyczałbyś teraz. – Dlaczego? – W chemii jest powiedziane, że bez wody żyć można". Nasi enkawudziści nie byli tak wykształceni. Obiecali nam wodę w najbliższym kołchozie, którego nazwy sobie nie przypominam. Inna rzecz, że nas do tego kołchozu nie wprowadzili, a poza kołchozem wody nie było.

[Wacław Grubiński (1883–1973) – dramatopisarz, nowelista, krytyk literacki i teatralny, przedwojenny prezes Związku Artystów Dramatycznych. Aresztowany w styczniu 1940 roku przez NKWD we Lwowie, został skazany na karę śmierci (zamienioną po 84 dniach na dziesięć lat łagrów), za opublikowaną w 1921 roku sztukę *Lenin*. Był więziony w jednym z łagrów nad syberyjską rzeką Sośwą, skąd zwolniono go kilka miesięcy po układzie Sikorski–Majski. Po wojnie przebywał na uchodźstwie w Wielkiej Brytanii. Wiktor Sukiennicki (1901–1983) był wybitnym polskim prawnikiem, historykiem i sowietologiem. Został aresztowany przez NKWD w Wilnie w czerwcu 1941 roku i przez kilka miesięcy był więziony w obozie pracy w Kraju Krasnojarskim. Po wojnie przebywał na uchodźstwie m.in. w Wielkiej Brytanii i w Stanach Zjednoczonych. Informacje o dostarczaniu wody deportowanym w całkowicie niewystarczającej ilości (jedno – dwa wiadra na wagon, w którym przewożono kilkadziesiąt osób) powtarzają się w wielu relacjach Polaków, wywożonych w głąb komunistycznego imperium].

8. „...ażebyście wiedzieli, że żyję".

[Z listów Eugenii Simpson do rodziny w kraju [w:] *Tylko te listy po nich pozostały… Korespondencja z zesłania Eugenii i Władysława Simsonów*, wstęp, wybór i oprac. Andrzej Muczyński, Białystok, IPN, 2011]

Gramotucha, 25 kwietnia 1940.

Kochani Wszyscy!

Myślicie pewnie, że zginęłam bez wieści, dlatego piszę kilka słów, **ażebyście wiedzieli, że żyję.** My mieszkamy w górach, dookoła nas tajga Sybiru, a my w niej pracujemy. Nas jest tutaj dosyć dużo Polaków, a z rodziny to tylko nas czworo: Ojciec, Matka, Władek, no i ja. […] Pracujemy wszyscy troje w arteli [spółdzielni pracy], która wydobywa złoto, inni chodzą do tajgi stawiać metry [ściętego drzewa].

13 czerwca 1940. Żadne z nas nie leży obłożnie, ale i zdrowi nie jesteśmy. Mama chora na serce, Ojciec ma ischias, ja reumatyzm, Władek słabe płuca, a pracować musimy (po stachanowsku), więc odczuwamy te braki dość wyraźnie. […] Ojciec co dzień jest przy innej pracy, przeważnie przy ciesielce. Władek pracował na hidraulice (mycie złota za pomocą monitorów) jako monitorszczyk, potem w szachcie (kopalni złota) jako zabojszczyk, czyli ten, który skałę kuje, a teraz ma chore ręce, więc obija się przy wszystkich robotach. Ja pracowałam przy wyrzucaniu śniegu (głębokość do 3,5 m), przy narzucaniu gliny na taczki, przy ścinaniu drzew w lesie, obrębywaniu gałęzi, przy budowie drogi z drzewa, a teraz przy sortowaniu rudy, którą na sobie nosimy. Ta ostania robota to najcięższa tutaj, bo więcej na sobie jak 30 kilogramów rudy po górach nie potaszczysz. Ale to wszystko nic, my jesteśmy silni. [...]. A teraz Fel – wybij sobie z głowy to, żebyś miał tu być, raczej idź w odwiedziny do Hanca sąsiedzkiego, dość nas tu jest, więcej pisać nie mogę [Feliks – brat Autorki; odwiedziny u Hanca – oznaczało przejście z terenów Polski okupowanych przez ZSRS na obszary okupowane przez Niemców].

18 czerwca 1940. My we troje pracujemy: Ojciec, Władek i Ja, a Mama karmi nas. Pracę mamy różną, jak na nasze siły, to trochę za ciężką. Pracujemy wszyscy przy wydobywaniu złota, najwięcej męczą nas góry, do których jesteśmy nieprzyzwyczajeni. Zdrowie wszyscy mamy słabe, ale na razie jeszcze chodzimy. [...] Prosimy o nas nie martwcie się, jakoś żyć będziemy i może kiedyś jeszcze się zobaczymy […]. Klimat jest ciężki, ale my jesteśmy mocni, wytrzymamy wszystko.

12 grudnia 1940. Pisze Mama, że my dzielnie się trzymamy, a co robić? Płacz nam nic nie pomoże i ciągłe narzekania, a tylko zaszkodzi na zdrowie.

4 stycznia 1941. Śniegu przykłada nam coraz więcej, jest jego do czterech metrów i dalej sypie i sypie, dopiero zimy mamy czwarty miesiąc, jeszcze popada cztery miesiące, to gotów nas zasypać zupełnie. Zapasy wyczerpują się, a dowozu żywności nie ma, bo konie chorują i jest nałożona kwarantanna. Ludzie zaczynają głodować. Choruje coraz więcej, a osiem osób już umarło, w tym dwóch dorosłych i sześcioro dzieci.

10 stycznia 1940. Są tu u nas rodziny już głodujące, a nawet jedna rodzina spuchnięta w okropny sposób. Po spuchnięciu następny etap to śmierć, grozi nam to wszystkim, o ile produktów nie dostawią, tylko jedni wcześniej pójdą na odpoczynek, inni dłużej pociągną. [...]

[Rodzina Simsonów mieszkała przed II wojną światową w Kosowie Poleskim. Po napaści Niemiec na Polskę ewakuowała się do Białowieży, która jednak podobnie jak ich rodzinna miejscowość znalazła się pod okupacją sowiecką. 10 lutego 1940 roku Simsonowie zostali deportowani do posiołka Gramotucha w obwodzie nowosybirskim. Eugenia Simson zmarła 3 lutego 1941 roku, pięć dni po urodzeniu syna Eugeniusza Franciszka. W 1946 wrócił on wraz ze swoim ojcem Władysławem do Polski. Mieszka w Augustowie. Położył ogromne zasługi w upamiętnianiu tragicznych losów Polaków zesłanych w czasie wojny w głąb Związku Sowieckiego].

1. Katownia sowiecka w Kowlu

[Z książki Józefa Czapskiego *Na nieludzkiej ziemi*, Warszawa, Czytelnik, 1990]

Drugi raz trafiłem do tego samego szpitala 30 września [1941 roku] [...]. Na dworze śnieg, pieca ani śladu, chłód przenikliwy. Prześcieradło zawieszone przy wielkim oknie powiewa jak żagiel, taki wiatr idzie od stepu. Wszyscy leżą pod kocami, szczękając zębami. Ręka wysunięta na chwilę już marznie. [...] Na lewo ode mnie chory żołnierz powtarza ciągle, ciągle to samo: „Czy ja więzień, czy ja wolny, czy mnie zabiją, co ze mną zrobią?", szkliste zielonkawe, przerażone oczy, zmięta twarz, biedny człowiek z Równego. „Czy zobaczę jeszcze żonę i dziecko, czy zobaczę Równe?" – powtarza w kółko. Ciągłe podejrzenie, że go szukają, że bolszewicy są tuż, że go zabiją. [...] Dalej w głębi tej samej sali plutonowy, uprzejmy, inteligentny Żyd, przeszedł wszystkie obozy, leży z wysoką gorączką, całą noc nieprzytomny jęczy i krzyczy. W przeciwnym kącie Poznaniak, były nauczyciel z terenów wschodnich [Rzeczypospolitej], jeszcze długo tkwił na stanowisku, zesłany dopiero parę miesięcy temu.

[...]

Na ziemi, w tejże lodowatej sali, na przeciągu, leży Abłamowicz, syn majora, z dyfteryczną anginą. Opowiada sąsiadowi szeptem, prawie gwarą kaszubską, o Iwdelu i Kołymie. Obok niego na ziemi również leży ktoś drugi, twarz przykryta kocem. [...] Słucham opowiadania spod koca:

„Bo ja jestem z Dubna, zostawiłem tam dwoje dzieci bez żadnej opieki, bo żona mi umarła".

„Bez żadnej?" – pyta sąsiad.

„Tak, bez żadnej, bo to było tak: zaaresztowali mnie zaraz, jak weszli, byłem urzędnikiem PKU [Powiatowej Komisji Uzupełnień – WP], trzymali mnie 5 dni w piwnicy; nie dali mi przez 5 dni nic do jedzenia ani do picia, nawet wody, i wypuścili. Kiedy wróciłem do domu, to nie chciałem, żeby żona wiedziała, jak mnie bito, a byłem cały siny, a że musiałem się przebrać, więc powiedziałem jej »wyjdź«. A ona nie: »przy mnie się przebieraj«. Ja znowu, żeby wyszła, a ona nie i nie. Więc jak ja zdjąłem koszulę i ona zobaczyła, że ja cały siny, to ona upadła na ziemię i miała atak sercowy pierwszy. Przecież ja byłem skromny urzędnik, ja do żadnej partii nawet nie należałem. Moja żona w te dni nagle posiwiała, połowę głowy miała białych włosów. Potem umarła. Ja miałem świnię i trzy worki mąki, to ja dla dzieci zbierałem. Po 5 miesiącach Żyd mnie zadenuncjował, bolszewicy wzięli mnie znowu,

a wtedy wypędzili moje dzieci z domu. Po dwóch tygodniach przyniosła mi córka do więzienia, ona miała wtedy 14 lat i wszystko w domu za matkę robiła, kupną bułkę i kawałek kupnej kiełbasy, więc już wtedy dzieci nic nie miały.

Ale te pierwsze dni spędzone w więzieniu! Ja nie byłem nerwowy, ale stałem się nerwowy. Co ja widziałem, co ja widziałem! W tej piwnicy trzymali pojedynczo, katowali i mordowali. Przez dziurkę od klucza widziałem obok jednego żołnierza, co do nich strzelał, jak oni zajmowali miasto. Oni tam trzymali go, a był październik – już zimno, w jednej koszuli, bez gaci i bez spodni i ręce miał w tył związane drutem. On ciągle chodził. Nie, on nie chodził. Nie, on nie chodził, ale tak skakał na palcach, widać na pięty nie mógł następować, bo go po piętach bili i ciągle się trząsł – cały był pobity i już nie mógł mówić, bo miał pewno język wykręcony i wszystkie zęby wybite, tylko tak wył. Widziałem, jak mu wnieśli kubek kawy rano i zamiast mu dać go do wypicia, chlusnęli mu kawą w twarz. I ciągle w tym gmachu bili w blachę, bo takie były wycia, żeby nie było tego wycia słychać".

[Szpital, w którym Józef Czapski zanotował świadectwo nieznanego z nazwiska urzędnika wojskowego z Kowla, mieścił się w miejscowości Tockoje, w pobliżu dzisiejszego Orenburga – miejscu formowania 6. Dywizji Piechoty armii gen. Władysława Andersa w ZSRS. Umieszczano tam żołnierzy polskich, przybywających do wojska po zwolnieniu z sowieckich więzień i łagrów, w których znaleźli się po napaści ZSRS na Polskę 17 września 1939 roku. Stan zdrowia niektórych był bardzo ciężki i wielu nie udało się uratować. Nie wiadomo ani kim był autor relacji o katowni sowieckiej w Kowlu, ani jak nazywał się polski żołnierz, który strzelał do czerwonoarmistów, wkraczających do miasta. Historia odnotowana przez Józefa Czapskiego, przedstawiającą krzywdę zwykłego człowieka, dobrze oddaje losy mieszkańców ziem wschodnich Rzeczpospolitej, przede wszystkim Polaków, na których spadły okrutne prześladowania ze strony komunistycznego okupanta].

2. Dziecko polskie na nieludzkiej ziemi

„Nas zabrali z Polsko do Rosyji za to ze Tatuś był dobrym Polakiem".

„Gdy spomnę o rosj to zbiera mne strach".

„Szczęśliwy jestem że już wyjechałem stego piekła".

[Cytaty pochodzą z relacji dzieci polskich, deportowanych w 1940 roku w głąb Związku Sowieckiego, opublikowanych w zbiorze *„W czterdziestym nas Matko na Sybir zesłali". Polska a Rosja 1939–42,* wybór i oprac. Jan Tomasz Gross, Irena Grudzińska-Gross, Warszawa, Wydawnictwo Rynku Wewnętrznego Libra, Wydawnictwo Res Publica, 1990. Zachowano pisownię oryginalną.]

[Z opowiadania Andrzeja Kalinina *Konie* [w:] *idem*, *I Bóg o nas zapomniał*, Kraków, Arcana, 1998].

Wtem ruch jakiś przy wejściu uczynił się i z tyłu za mną ktoś zakasłał, kaszlem takim głębokim, gdzieś od żołądka pochodzącym. Obejrzał ja się, bo w drzwiach jakaś ciemna zjawa ukazała się. Nie człowiek to był. Dobrze ja to powiedział – zjawa. Tyle, że mała ona była i cienka, chociaż w najprzeróżniejsze ciuchy pookręcana.

Stał ja teraz i patrzył na tę zjawę do stajni wchodzącą. Najpierw przełknął ślinę, a potem oddech, co do życia potrzebny jest, gdzieś w gardle mnie się zatrzymał.

Widział ja, panie, w Rosji już sporo i zadziwić mnie łatwo nie przychodziło. Ale teraz przestraszył ja się na serio. Musi, że tak się stało, bo gęba mi się otworzyła, a oczy na wierzch wyszli. Ta zjawa w łachmany pookręcana, kołysząc się z nogi na nogę, szła w moją stronę. W czeluściach szmat, co całe głowę okrywali, było coś... To znaczy, źle ja powiedział. Słuchaj pan. W tej twarzy nie było wcale nosa. Tylko rana sina, ropiejąca i głęboka. Wyżej tej rany byli oczy. Duże jakieś i okrągłe i z tą raną w jeden obraz się łączyli. Nigdy przedtem twarzy ja takiej nie widział, więc stał teraz i patrzył jak oniemiały. A te oczy szli w moją stronę i szli...

Boże mój wielki. Do dzisiaj, widzisz pan, nie mogę opowiadać tego spokojnie. Te oczy dlatego byli takie wielkie, bo powiek one nie mieli. Odpadli powieki, odpadł nos mrozem syberyjskim uszkodzone. I jakby tego wszystkiego nieszczęścia całego za mało było, wargi też jakieś dziurawe byli, za którymi sterczeli dwa białe zęby. Innych nie było.

Wszystko to obejrzał ja szybko, jednym spojrzeniem, to panu tak długo opowiadać musiał, żebyś pan to dobrze zobaczył. Ta nie kiwaj pan głową, że pan to widzisz. Nie kiwaj pan. Tego się nie da opowiedzieć ani wyobrazić sobi nie można. To trzeba było widzieć.

Więc jak panu zaznaczyłem, te oczy wielkie i niebieskie szli w moim kierunku i szli, aż zatrzymali się o jeden krok przede mną i do góry na mnie popatrzyli.

– Wy nowy do koni?

Chciał ja odpowiedzieć i nie mógł. Śliny mnie nagle zabrakło, a powieki na ten moment łzami nalecieli. Ten głos do mnie przemawiający po polsku mówił i do dziecka należał.

– Chryste Panie – wykrztusiłem wreszcie. – Dziecko moje, skąd ty tu? Skąd ty się wziął?

– Ze Lwowa.

– Z Polski?

– Tak, ze Lwowa.

– A familia twoja, znaczy rodzina, gdzie?

– Nie ma już, wywieziona. A ja nazywam się Stasiu Walczak.

– Boże wielki. Stasiu, co oni z ciebie zrobili. Za co tak? Stasiu! Boże nasz. Boże nasz.

Coś wtedy we mnie urwało się. Jakaś nerwa chyba, bo jak ja panie zaczął wtedy płakać. Sam nie wiem, skąd się we mnie tyle płaczu wzięło. Rozbeczał się ja, rozszlochał. Za te podłe życie, za te katorgę, za te zmarnowane polskie dzieci, za te...

Ta, panie, jak ja mogę pamiętać, za co ja jeszcze płakał w tamta pora. Płakał, i tyle. A pan słuchaj, kiedy opowiadać mam ochotę.

Wtedy, tam, w tej stajni stali przede mną czternastoletnie, wielkie, zdziwione oczy dziecka i wpatrywali się we mnie, starego chłopa płaczem wielkim ogarniętego. Nagle poczułem, że on głaszcze mnie po ręce i coś mówi. A słowa jego, zrazu pojedyncze, ciche i słabe w zdania całe układać się zaczęli, wielkim spokojem na mnie spływając. Zaczął więc ja brudnym rękawem mokre policzki wycierać, ale łkania, co mi w gardle gulgotało, uspokoić nie mogłem.

Tak to, panie, dziecko, mnie, silnego chłopa, w tamta pora w sowieckim łagrze mową polską pocieszało. Ot, życie sowieckie.

[Z relacji Heleny Gałęziewskiej-Stefanowskiej *Nie ma Boga...* [w:] Daniel Boćkowski, *Jak pisklęta z gniazd. Dzieci polskie w ZSRR w okresie II wojny światowej*, Warszawa–Wrocław, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze – Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, 1995]

[...] Dojechaliśmy do jakiejś miejscowości, kiedy była już szarówka. Wysadzili nas z tego samochodu i zaprowadzili do jakiegoś budynku. Tu oddzielili nas od mamy. Ją zamknęli do oddzielnej klitki, nas do oddzielnej. [....] Nagle obudziło nas stukanie. To stukała nasza mama, żeby się z nami pożegnać, bo już ją mieli zabierać. Przez takie małe okienko – widzieliśmy więc, jak mamę wyprowadzają. Nawet nie pozwolili się mamie pożegnać z nami. Wychodziła już skuta. Zaprowadzili ją do jakiegoś samochodu i odjechali. To byli ludzie bez serca, bez żadnych uczuć.

[...] Postanowiono, że pojedziemy do diet-domów, z tym że brata wzięto do kołchozu, do pracy, bo miał już 14 lat. Nas niestety rozdzielono. Krysię zabrano w inną stronę, a mnie w inną. Od tego czasu przez trzy lata nic o sobie nie wiedzieliśmy. Przywieźli mnie do jakiegoś budynku-baraku. Było to ogromne, długie jak stodoła, niskie pomieszczenie. [...] Pierwsza rzecz, którą usłyszałam, to było stwierdzenie „polskie świnie". Nic, tylko na każdym kroku, „burżuje, polskie świnie". Traktowano nas, Polaków, najgorzej ze wszystkich dzieci. Wszystkie inne nacje miały dużo więcej szczęścia. Polacy nie.

Pamiętam, jak pewnego razu ktoś przywiózł jabłka. Podzielono je po ćwiarteczce na każdego. Wszystkie dzieci ustawiły się w kolejce. Dla wszystkich były jabłka, a dla na stwierdzenie „polskie świnie" i nic więcej. Tak samo było z wyżywieniem. Dostawaliśmy najmniejsze porcje. Wszystko było naj, naj, najgorzej. W naszym diet-domu było 32 dzieci w wieku od 6 do 10 lat. Podkreślić jednak należy, że to nie był zwyczajny dom dziecka. To był przymusowy dom pracy. Już o godzinie 6 rano wywozili nas latem na pola, gdzie podlewaliśmy arbuzy oraz melony. To były olbrzymie połacie pola na każde dziecko. Każde dziecko musiało nosić dwa wiadra wody. Nogi mieliśmy stale przez te wiadra poobijane. Byliśmy też nieustannie głodni, bo jedzenie było makabryczne. Dwa razy dziennie po kawałku chleba i prawie zawsze to wszystko. Jak były jakieś zupki lub kartofle w łupinach, to było bardzo dobrze. Jak była gorzka kawa, to był sukces. Nie wiedzieliśmy zupełnie, co to jest chleb czymś posmarowany.

Kolejnym naszym obowiązkiem było pielenie. Musieliśmy wszystkie chwasty wyrywać z pól. Tu też wyjazd codziennie o 6 rano. Obowiązkowo bez żadnego jedzenia. Dopiero na pole przywozili nam coś do picia oraz czasami po ugotowanym ziemniaku na obiad. Przeważnie jednak na obiad była jakaś lura. Wracaliśmy

najczęściej ok. 18.00. Wtedy odbywał się obowiązkowo apel, do tego śpiew wyuczonego na pamięć sowieckiego hymnu i obowiązkowa gimnastyka. Po tym wszystkim można już było udać się do pomieszczeń, z tym że dla nas, dla Polaków, nie zawsze tak się kończył dzień. Dla nas przecież było sprzątanie. Przymusowo szorowaliśmy podłogi – korytarze i kuchnie. To była makabra. Mycie podłóg to nie taka prosta sprawa, jak się wydaje. To była prawdziwa sztuka. Ile dostaliśmy cięgów za te mycie. To trzeba było jakoś specjalnie zawijać tę ścierkę, a do tego wszystko myło się zimną wodą.

[...]

Byliśmy przyzwyczajeni, że co wieczór trzeba się modlić, więc tam nas natychmiast rozpoczęli „odzwyczajać" od istnienia Boga. Mówili: „Boga nie ma, bo gdyby był, to przecież każde wasze życzenie było spełnione, a tak to polskie świnie my możemy zrobić z wami, co tylko chcemy" i zaczynał się odwieczny rytuał Stalina i cukierków. I to im się udało. Bardzo dużo im się udało, bo ja nie mówię o tym małym dziecku, które można było przekształcić, ale ja mówię o sobie. Bo jeżeli stale mi mówili, że nie ma Boga, że gdyby Bóg był, to przecież czy by mi zabrał ojca i matkę? I ja też kiedyś wyszłam i mówię: „Nie ma Boga! Nie ma! A jeśli jesteś, to ja Ciebie nie cierpię! Gdzie ty jesteś?!". Wtedy naprawdę uwierzyłam, że Boga nie ma, bo skoro tak się modliliśmy, a on nam nic nie pomagał, mimo że tak nas poniewierali, do końca. [...]

Mama wyszła z więzienia dopiero w 1943 roku. [...] Pamiętam jak raz wchodzi kierowniczka tego domu dziecka i mówi, że przyjechała po mnie moja mama. Wychodzi jakaś kobieta. Patrzę – o jakaś stara taka, brzydka, na czarno ubrana. Mama też nie wiedziała, którym z dzieci jestem. Myśmy wszyscy stali przy takim dużym, żelaznym piecu. [...] Mama od razu mnie poznała. Matka pozna swoje dziecko bez względu na warunki. Ja natomiast powiedziałam do kierowniczki i tej kobiety, już prawie po rosyjsku, że „to nie jest moja mama. Moja mama w tiurmie, moja mama była krasiwaja, a ty jesteś stara i brzydka". I tak skwitowałam matkę. Po prostu jej nie poznałam, tak moja mama była od tego słońca i pracy zniszczona. Wyglądała na ponad 50 lat, a była to trzydziestoparoletnia kobieta, śliczna zresztą. Dopiero ona zaczęła mi opowiadać wszystko, co razem przeszliśmy, i to, co się działo. Jak zaczęła mi śpiewać moją kołysankę, przytuliłam się do niej mocno i zapytałam: „mamo, dlaczego ty jesteś taka brzydka, przecież ty byłaś taka ładna". Mama zaczęła mi tłumaczyć, że musiała ciężko pracować, że dobrze, iż przeżyła, że nadal będzie ładna, że przyjechała po mnie, ale jak mnie zabierze, to będzie nam bardzo ciężko. [...]

[Helena Gałęziewska-Stefanowska urodziła się w 1933 roku. Została zesłana z matką, siostrami i bratem w kwietniu 1940 roku do obwodu pawłodarskiego. Ojciec, funkcjonariusz Policji Państwowej, był więziony w obozie w Ostaszkowie, a następnie został zamordowany w Miednoje. Matka natychmiast po przybyciu na zesłanie została rozdzielona z dziećmi i jako żona policjanta skazana na 10 lat łagrów. Zwolniono ją w 1943 roku, wówczas też zaczęła poszukiwania dzieci, z którymi szczęśliwie wróciła do Polski w 1946 roku].

[Z relacji Danuty G. z Lwowa, urodzonej w 1928 roku [w:] *„W czterdziestym nas Matko na Sybir zesłali". Polska a Rosja 1939–42*, wybór i oprac. Jan Tomasz Gross, Irena Grudzińska-Gross, Warszawa, Wydawnictwo Rynku Wewnętrznego Libra, Wydawnictwo Res Publica, 1990]

[...] Co dzień w lecie jechaliśmy po tzw. kiziaki (nawóz bydlęcy) w step i za zbieranie dostawaliśmy kilka gramów mąki albo wielkie nic. Nie patrzono, czy jesteś chory, gonili na robotę, i koniec. Zimą na Syberii przetrwać, to trzeba mieć żelazne nerwy, bo wtedy nie ma nawet trawy, żeby zgotować. A wodę trzeba nosić dobre pół kilometra i trzeba brnąć w śniegu po pas. W żołądku pusto, kiszki marsza grają naprawdę. Gdy matka była obłożnie chora i tylko brat poszedł do pracy, nie pozwolono mi zostać przy obłożnie chorej matce i wypędzono do roboty. Tylko krzyczeli „hajda na rubatu" i więcej nie można było z ich ust usłyszeć, ciągle jedno i to samo. Święta, jakie miałam na Syberii, chyba już nigdy takich mieć nie będę w domu, nie było nawet kęsa chleba Tylko nędza z biedą zaglądała do nas prze okno. Gdy chodziłam po prośbie, czasem przyniosłam kęs chleba, a czasem i to nie. Moim pragnieniem było włożyć do ust dobry kęs chleba. Gdyśmy już jechali na południe, widać było ludzi wałęsających się po stacjach aż czarnych z głodu. [...] My naprawdę nie mamy słów do opisania tych przeżyć w Rosji. To się nie da ani opisać, ani opowiedzieć, ten człowiek tylko to może zrozumieć, kto sam odczuł na własnej skórze A tak nikt nie zrozumi.

Adres w Polsce: Lwów, Sobińskiego albo Stryj ul. Piotra Skargi. Danuta G., uczennica szkoły w Ain-Karem, Palestyna

[Z relacji Ewarysta N. z Poznania, urodzonego ok. 1927 roku [w:] *„W czterdziestym nas Matko na Sybir zesłali". Polska a Rosja 1939–42*, wybór i oprac. Jan Tomasz Gross, Warszawa, Irena Grudzińska-Gross, Wydawnictwo Rynku Wewnętrznego Libra, Wydawnictwo Res Publica, 1990]

Wywieziony zostałem wraz z rodziną 15 kwietnia 1940 r. Wywiezieni zostaliśmy za to, że byliśmy Polakami. Podróż ta trwała 21 dni. W wagonie naszym było 60 ludzi, tak że nie można było się ruszyć. Głód począł nam dokuczać, gdyż dawali 30 dkg chleba na dzień, a ciepłej strawy wcale nie dawali. Tak po 21-dniowej podróży przywieźli nas w tajgę na posiołek Abkaszewo. Mieszkanie dali nam w barakach, w których nikt nie mieszkał, gdyż było pełno pluskiew i szczurów. Dnia następnego kazali nam iść na robotę, bo powiedzieli, że jak nie pójdziemy, to nie dadzą nam chleba. Ja wraz z tatusiem pracowaliśmy na leso-zagotowce. Na dzień dawali nam po 30 dkg chleba i trochę cienkiej zupy. Na robotę chodziliśmy po 12 km, gdzie po 10-godzinowej pracy wracaliśmy zmordowani do domu. Ja miałem wtedy 13 lat i choć ojciec nieraz zwracał się do NKWD, że jestem młody, słaby, i prosił, by pozwolono mi pracować w samym posiołku lub bym pracował w ciągu dnia mniejszą ilość godzin, to NKWD tylko tatusia wyśmiało i musiałem jako dziecko pracować po 10 godz. w dzień. Ludzie marli z głodu i wycieńczenia. Dnia pewnego zachorował mój tatuś, brat i siostra. Teraz ja sam musiałem chodzić do roboty, by zapracować na całą rodzinę i moja biedna porcja chleba musiała starczyć dla wszystkich. Mieliśmy trochę odzieży, którą sprzedaliśmy na chleb, by nakarmić chorego tatusia, brata i siostrę. Niestety, nic nie pomogło, gdyż brat i siostra zmarli. Tatuś chorował jeszcze cały rok i teraz jeszcze jest słaby.

3. Zbrodnie sowieckie na drodze Mińsk–Mohylew

[Ze wspomnień Grażyny Lipińskiej, *Jeśli zapomnę o nich*, Paryż, Editions Spotkania, 1988]

Z chwilą wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej 22 czerwca 1941 r., od pierwszego jej dnia NKWD zaczął pośpiesznie wywozić na wschód więźniów politycznych z okupowanych przez ZSRR terenów polskich. Ewakuacja odbywała się w popłochu i w szalonym tempie. W wielu więzieniach – przede wszystkim w więzieniach lwowskich – personel NKWD dopuszczał się masowych zbrodni. Nie ograniczały się one tylko do rozstrzeliwania bezbronnych więźniów: w licznych wypadkach mordercy, przed zadaniem śmiertelnego ciosu, pastwili się bestialsko nad swymi ofiarami. Więźniowie ewakuowani, wywożeni pociągami lub pędzeni pieszo i dziesiątkowani przez konwojentów byli również narażeni ze strony samolotów niemieckich na bombardowanie i cięcie strzałami karabinowymi. [...]

Dnia 24 czerwca po południu zaczyna się ewakuacja całego więzienia [w Mińsku]. Więźniowie są gromadzeni na podwórzu partiami po 1500 ludzi, wyprowadzani i pędzeni pieszymi pochodami na wschód. Moja cela wchodzi w skład ostatniej partii. Jest już późny wieczór. Nad nami purpurowe łuny pożarów płonącego miasta. Nikt nie sprawdza naszych personaliów, nikt nas nie liczy, nikt nie formuje w szeregi czy kolumny. Przez ruiny zbombardowanej więziennej bramy żołnierze przeprowadzają nas na ulicę. Ustawiony w podwójny szpaler duży oddział wojsk NKWD – nasi konwojenci – kieruje w naszą stronę lufy karabinów.

[...] Upalny czerwcowy ranek. Słońce świeci nam prosto w twarze. Wyschnięte gardła i języki łakną wody. Nogi ciężkie, popuchnięte. Ktokolwiek ma niewygodne obuwie – między innymi i ja – pozostawia je na drodze. Bose stopy krwawią. Wyrzucamy nasze więzienne bogactwa, które wynieśliśmy z cel, wszystkie tobołki, worki i woreczki. [...]

Za chwilę wyciągają nową ofiarę i znowu. Drętwiejemy jak pod mroźnym podmuchem, ścieśniamy nasze szeregi, kobiety zasłaniają mężczyzn. Rozlega się ostry protest Zuzi. Enkawudyści odrywają od niej Władka. Ona trzyma go mocno i odpycha ręce wrogów: *Nie lzia!* – krzyczy – *Eto moj syn!*

– Proszę nie narażać siebie – mówi spokojnie Władek. Delikatnie uwalnia się z uścisku Zuzi.

– Powiedzcie mamie! – słyszymy jego głos skierowany do nas.

– Patrzmy na niego! – woła Zuzia. – Może powie swe nazwisko.

Wysuwam się z Zuzią na brzeg szosy. Władek jest tuż – zaledwie o 20 kroków

od nas. Przy nim dwaj enkawudyści z wyciągniętymi naganami.

– *Łożis!* – wrzeszczą. Władek przyklękuje, żegnając się znakiem krzyża. Obalają go brutalnie i strzelają w tył głowy. Nazwiska jego nie znamy. Jak możemy zawiadomić matkę?

[...]

Jeszcze przed rzezią wielu spośród pędzonych mężczyzn próbowało uciec na boki, ale te próby kończyły się śmiertelnymi strzałami. Niektórzy więźniowie padali na dno rowów, które trzeba było przeskakiwać: ci uniknęli śmierci. Masakra odbyła się na małej polanie leśnej. Konwojenci kazali ustawić się w szeregi, ale więźniowie, korzystając z ciemności, zbili się w gęstą gromadę i pod strzałami padali jeden na drugiego. Sołdaci bez końca pruli po leżących salwami karabinów maszynowych. Potem weszli na stos powalonych skazańców i chwytając ich za ręce, rozciągali po polance i trupy i rannych. Dobijali strzałami, bagnetami, kolbami. Rozdeptywali twarze butami. Po odejściu oprawców zaczęli wygrzebywać się spod trupów cudem ocaleni. Jedni pomagali drugim. Razem było ich tylko 8, w tym 2 rannych. Sześciu jeszcze przed brzaskiem poszło lasami przed siebie. Dwaj, co przeczekali w krzakach do dnia, postanowili iść z grupą przybyłych mężczyzn i kobiet. Kobiety chciały przed odejściem pogrzebać swych najbliższych, synów i mężów. Brak wszelkich narzędzi utrudniał kopanie dołu, więc młodziutki harcerz z Baranowicz, Maniuś – pomimo przestróg starszych – pobiegł w stronę opuszczonego więzienia, aby przynieść stamtąd łopatę. – Może znajdę dla nas coś do jedzenia – zawołał na zachętę. Po pół godzinie usłyszano od strony więzienia kilka strzałów. Harcerz nie wrócił. Pozostali przykryli listowiem pomordowanych i rozeszli się.

4. Sowieckie drogi śmierci

[Z relacji Tadeusza Sobolewskiego, więzionego w Augustowie [w:] Krzysztof Popiński, Aleksander Kokurin, Aleksander Gurjanow, *Drogi śmierci*, Warszawa, Wydawnictwo KARTA, 1995]

[...] Z cel znajdujących się przy wejściu do baraku rozległy się strzały i przeraźliwe krzyki mordowanych. Na mój okrzyk wszyscy w naszej celi zeskoczyli na podłogę. Nie wiadomo, czym kierowani, ustawili się frontem do drzwi, uklękli na kolana i każdy w głos się modlił. [...]

Znajdowałem się najbliżej drzwi, twarzą byłem zwrócony do środka celi – stałem się mimowolnym obserwatorem tego, co się w niej działo. To, co zobaczyłem, zostało zapisane w pamięci jak na taśmie filmowej i będzie żywe do końca mego życia. Kiedy wszyscy już klęczeli, Zygmunt Zysko nakładał buty. Dlaczego to robił? Wtedy przez zamknięte drzwi padł do naszej celi pierwszy strzał. Trafiony został młodzieniec z Białegostoku. Upadł na podłogę. Jednocześnie otwarto drzwi i usłyszałem komendę: „*Wychodi!*". Lekko wychylając się z kryjówki zobaczyłem trzech enkawudzistów z karabinami skierowanymi do celi. Strzelali do klęczących przed nimi więźniów. Dziesięcioletni chłopiec padł na stojący w pobliżu kibel. Klęczący tuż przede mną Kukliński upadł, po chwili wolno pochylił się Adam Kotarski. Zygmunt Zysko naciągał już drugi but, kiedy padł pierwszy strzał. Zysko upadł na podłogę, starając się uniknąć trafienia. Był wyszkolonym żołnierzem, walczył na froncie w 1939 roku. Enkawudziści strzelali dopóty, dopóki wszyscy klęczący nie upadli. Po chwili usłyszałem z korytarza: „*Wsie?*". Stojący w drzwiach odpowiedział: „*Da, wsie*". „*Tak zakrywaj*". Drzwi zostały zamknięte i zaryglowane. W innych celach strzały też już ustawały. Zewsząd dochodziły jeszcze krzyki. [...]

Nie mogąc wyjść drzwiami, postanowiliśmy spróbować drogi przez sufit. Adam Kotarski położył się na pryczy i zaparł się nogami w deski sufitu. Włożyłem palce pomiędzy deski i oderwałem jedną, drugą. Z wierzchu sufitu także była warstwa desek, ale i z nią uporaliśmy się szybko. Weszliśmy na strych – Adam Kotarski, Zygmunt Zysko i ja. Zamierzaliśmy wybić deski w szczycie i tą drogą uciec z baraku, ale przez szczeliny zobaczyliśmy żołnierzy radzieckich – byli około dwustu metrów od nas. Bardzo interesowało nas, gdzie są Niemcy. Zastanawialiśmy się, co mamy począć, bo dłużej tu przebywać nie było bezpiecznie. Nagle w otworze sufitu pojawiła się z lekka połyskująca, ciemna postać. W panującym na strychu półmroku nie mogliśmy jej rozpoznać. Okazało się, że jest to jeden z więzionych w sąsiedniej celi.

Miał dużą brodę, wąsy. Cały, łącznie z ubraniem, zlany był krwią – tak jakby kąpał się w pełnym krwi basenie. Dlatego tak dziwnie połyskiwał. Pokrótce opowiedział, że w jego celi wszyscy leżeli na pryczach – zgodnie z nakazem enkawudzistów. On zaś zsunął się wcześniej pod pryczę, na podłogę. Został ranny w nogę. Strzelano dość długo. Nikt z leżących na pryczach nie ocalał. On zalany był ich krwią.

[Z relacji Wojciecha Podgórskiego, więzionego w Łucku [w:] Krzysztof Popiński, Aleksander Kokurin, Aleksander Gurjanow, *Drogi śmierci*, Warszawa, Wydawnictwo KARTA, 1995]

[Dziedziniec] otoczony był tylną ścianą głównego budynku, dworna bocznymi skrzydłami i wysokim murem. Na murze zauważyłem cztery karabiny maszynowe z obsługą. Na środku dziedzińca stała studnia nakryta budką z daszkiem. Było tu około czterystu ludzi. Rozkładali się przeważnie pod murami i na trawniku. Ja także wybrałem sobie słoneczne miejsce pod murem. Obok mnie młody mężczyzna przeglądał leksykon. Ludzie byli spokojni, nie dochodziły odgłosy walki.

Nagle detonacja wstrząsnęła ziemią. To był jeden grzmot. Dopiero po paru sekundach zaczęliśmy w ciągłym łoskocie odróżniać wybuchy granatów ręcznych od grzechotu karabinów maszynowych. Odezwały się one również po naszej stronie. Ujrzałem, że z głów moich sąsiadów leżących na ziemi pryska mózg na ściany więzienia. Poderwałem się instynktownie, pobiegłem w stronę studni i opuściłem się do jej wnętrza.

Wybijanie więźniów trwało nadal. Gdy poczułem, że ubywa mi sił, poderwałem się do góry i ostatkiem sił wydostałem się na zewnątrz. Na dziedzińcu leżało pełno ludzi. Położyłem się na nich. Nie wiem, czy żyli. Nikt nie protestował. Po naszej stronie ucichło. Z głównego dziedzińca dochodziły pojedyncze strzały. Między skrzydłami budynku leżał na plecach dość tęgi mężczyzna z rozprutym brzuchem; jelita na wierzchu, unurzane w piasku i ziemi – bo mężczyzna przewracał się z boku na bok i wył z bólu. Ukląkł przy nim człowiek w czarnych spodniach i białej, brudnej, podartej koszuli. Powiedział, że jest księdzem i chce nas przygotować na śmierć. Był to ksiądz [Władysław] Bukowiński (znałem go z czasów szkolnych). Wszyscy żywi i mniej ranni poklękali, a ksiądz recytował modlitwy przeznaczone na taką okoliczność. Wszyscy odmówiliśmy głośno spowiedź powszechną z liturgii mszalnej.

[Z relacji Leopolda Lercha, więzionego w Samborze [w:] Krzysztof Popiński, Aleksander Kokurin, Aleksander Gurjanow, *Drogi śmierci*, Warszawa, Wydawnictwo KARTA, 1995].

[...] Czekaliśmy z niecierpliwością, kiedy otworzą drzwi. Nie nastąpiło to jednak. Usłyszeliśmy natomiast serie z automatów i okropne jęki na podwórzu więziennym. Skoczyłem do okna i ujrzałem skłębionych więźniów, rozstrzeliwanych przez czterech enkawudzistów. Ustawiono ich w przysiadzie, ciasno rzędami i strzelano z tyłu. Tak okropnego obrazu nie da się zapomnieć ani opisać. Huk strzałów zagłuszał rozpaczliwe jęki mordowanych; bluzgająca krew, konwulsyjne drgawki konających. Odskoczyłem od okna, aby inni mogli to zobaczyć. Po chwili nastąpiła cisza. Gdy ponownie wyjrzałem przez okno, enkawudzistów już nie było, tylko na podwórzu leżało około pięćdziesięciu zmasakrowanych ludzkich ciał.

Enkawudziści – przekonani, że wszyscy więźniowie są już zlikwidowani – uciekli, pozostawiając otworem główne drzwi i bramę więzienną. Wyszliśmy osłabieni, podtrzymując się wzajemnie. Na ulicach było jeszcze sowieckie wojsko – nic nam jednak złego nie czynili, raczej patrzyli ze współczuciem, byliśmy bowiem bardzo wymizerowani, bladzi i brodaci. Ulice miasta opustoszałe, słychać coraz częstsze strzały. Rozbiegliśmy się więc i ukryli w ogrodach podmiejskich, bo okazało się, że wycofujące się oddziały pograniczne NKWD strzelają, gdy spotkają takich jak my, nieogolonych ludzi. Mieszkańcy Sambora chowali nas do mieszkań, strzygli i golili, a przede wszystkim karmili, bo byliśmy bardzo wygłodzeni.

Aby nie narażać na zemstę NKWD ludzi, którzy się nami zaopiekowali, noc spędziliśmy ukryci w ogrodach. Rano w mieście byli już Niemcy. Poszliśmy wówczas na teren więzienny, aby zobaczyć pomordowanych na podwórzu. Zakopano ich, lecz tak niedbale, że z ziemi wystawały nogi i ręce. Jak później dowiedzieliśmy się od ludzi, część enkawudzistów wróciła do więzienia, zanim Niemcy zajęli miasto. Zastali tam jeszcze kilku więźniów, których zmusili do zrobienia dołu i zakopania pomordowanych. W końcu i oni zostali zastrzeleni, a enkawudziści w pośpiechu zagrzebali ich tak niedbale. Może jeszcze żyli, kiedy zasypywano ich ziemią, i dlatego było widać wystające kończyny?

Najbardziej makabryczny widok, którego nigdy nie zapomnę, to trzy piwnice, w których przez kilka dni mordowano więźniów. Piwnice o wymiarach cztery na dwa i pół metra zawalone były trupami. W pierwszej ciała były ułożone od ściany do ściany – jeden stos na około półtora metra, drugi niższy. W drzwiach i na schodach leżała bezładna kupa kilkunastu ludzi zabitych strzałem w tył głowy, każdy z nich miał ręce związane do tyłu. W innych piwnicach było mniej ułożonych

stosów, a więcej ciał leżało tam, gdzie upadły. Więźniów widocznie sprowadzano schodami pojedynczo, ze związanymi rękami; strzelano w tył głowy i więzień padał w dół. Gdy kupa trupów dochodziła do poziomu drzwi, wówczas ciała składano w stosy i strzelano dalej. Nie mogliśmy oglądać tych piwnic przez dłuższy czas, gdyż niektóre ciała były już w stadium rozkładu.

[...] W Borysławiu trafiliśmy na pogrzeb pomordowanej tam przez NKWD młodzieży. Mówiono, że ciała były w okropny sposób zmasakrowane i polane jakimś kwasem. Zabici to Polacy i Ukraińcy. Kondukt pogrzebowy rozdzielił się na dwie grupy. Polaków niesiono ulicą Mościckiego do kościoła na Wolance i na cmentarz na Hukowej Górze, a Ukraińców ulicą Bobrowskiego i Hołówki do cerkwi i na cmentarz w Tustanowicach.

[Z relacji Stanisława Flacha, więzionego w Stryju [w:] Krzysztof Popiński, Aleksander Kokurin, Aleksander Gurjanow, *Drogi śmierci*, Warszawa, Wydawnictwo KARTA, 1995]

[...] W nocy, kiedy wojsko radzieckie uciekało przed wojskami niemieckimi, w mieście szalała strzelanina. Nad ranem do miasta wkroczyli Niemcy. Witała ich ludność ukraińska. Ludzie zaczęli wychodzić z domów, chcąc dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja w mieście; rodziny aresztowanych poszły do więzienia szukać swoich bliskich. Po wejściu na teren więzienia zobaczyli makabryczny widok: ściany cel zbryzgane krwią, a na podłodze ciała pomordowanych ludzi. W szambie więziennym pełno zwłok, na które wysypano mąkę, cukier, kaszę. Słychać było płacz, krzyk i rozpacz.

Wiadomość o pomordowanych rozeszła się lotem błyskawicy, zaczęły napływać tłumy z miasta i okolicznych wiosek. Niemcy ściągnęli korespondentów, którzy robili zdjęcia pomordowanych. Rodziny zabierały zwłoki do domu, by zrobić im chrześcijański pogrzeb. Ciała ludzkie umyto, ułożono pod murem więziennym, by można je było rozpoznać. Wszyscy więźniowie zostali zamordowani strzałem z pistoletu w tył głowy, a niektórzy przekłuci bagnetem.

[Z relacji Michała Bogowicza, więzionego w Berezweczu [w:] Krzysztof Popiński, Aleksander Kokurin, Aleksander Gurjanow, *Drogi śmierci*, Warszawa, Wydawnictwo KARTA, 1995]

[...] Ciągle nie dawano nam picia ani jedzenia. Słychać wciąż jęki, kilka osób uciekło do lasu na odległość 50–100 metrów. W takich chwilach padało: „*Łożyś!*" , nie wolno podnieść głowy. Słychać było wystrzały i gonitwy z psami po lesie; gdy tylko ucichły, znów szliśmy.

[...] 25 czerwca rano wybuchł bunt z powodu głodu i pragnienia. Ludzie domagali się wody. Kilka osób w zamieszaniu znów uciekło do lasu. Tam nastąpiła masakra, bili kolbami i przeklinali. Wściekli się, kłuli bagnetem każdego, kto nie był posłuszny i nie padł na komendę twarzą do ziemi.

Między dziesiątą a jedenastą 25 czerwca 1941 było upalnie. Spieczeni do ostateczności ludzie płakali, błagając o wodę. Odpowiedzią były tylko obietnice: „Zaraz was napoimy". Po tych słowach każdy z nas oczekiwał czegoś strasznego. Dochodziliśmy do miasteczka Ułła. [...] Dookoła nas trwały jakieś przygotowania – i raptem niesamowity huk jak setki młotów: rąbano z karabinów maszynowych. Z przodu rozległy się tylko straszne wrzaski, między innymi słyszało się: „Bracia, strzelają do nas!", a obok jęki, bicie kolbami, ludzkie głosy pomieszane z wyciem psów. Wreszcie ucichło. [...]

Nagle usłyszałem huk samolotów. Gdy przelatywały nad nami, ogromne ciśnienie zapierało dech. Zrzuciły chyba kilka bomb, bo zabrakło mi powietrza, a za koszulę i po szyi pociekło coś gorącego. Obok usłyszałem urywany płacz i jęki... Wtem ucichło, oprócz jęków nic nie było słychać. Dookoła same trupy! [...] Zabrałem worek z rzeczami i pobiegłem do lasu. Krew już wsiąkła, jedynie mózgów dość dużo leżało na jezdni, poboczu i w rowie. Na skarpie leżał znajomy sąsiad, który mnie wydał – że rzekomo należałem do jakiegoś spisku. Leżał na wznak i patrzył jak żywy, prosto przed siebie.

[Zbrodnia dokonana przez NKWD w ostatnich dniach czerwca 1941 roku na przeszło dwudziestu tysiącach obywateli Rzeczypospolitej (jak wynika z szacunkowych, choć rozbieżnych danych), głównie Polakach, lecz także Ukraińcach, Białorusinach i Żydach, w więzieniach na okupowanych przez ZSRS ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej oraz w czasie ich zbrodniczej ewakuacji, szybko uległa zapomnieniu. Stało się tak, chociaż została dokonana jawnie, na oczach tysiącach świadków, którzy znajdowali pomordowanych ludzi na terenie opuszczonych przez Sowietów więzień, szybko dowiedziały się też o niej władze polskie na uchodźstwie i władze Polski Podziemnej].